

{gallery}galeria_7_wczoraj/kokowski{/gallery}

Byłam sekretarką

peerelowskiego prezydenta

Bernard Kokowski ładował węgorze do bagażnika swojego fiata 125 i gnał przez Polskę na Śląsk

Spotkanie

Pierwszy raz spotkali się, gdy w 1973 roku Bernard Kokowski przyjechał do Koszalina jeszcze jako szef powiatowej rady w Wałczu. Chciał spotkać się z przewodniczącym koszalińskiego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (wtedy był to odpowiednik prezydenta).

- Ale ten był zajęty, kazałam mu więc czekać. Usiadł i czekał. Trwało to aż trzy godziny i widziałam, że był on wściekły jak nie wiem co. Ale nie wpuściłam – wspomina pani Maria. Kokowski przyjechał, bo dostał propozycje przejścia z Wałcza do Koszalina na to właśnie stanowisko.

– I potem, gdy objął tę funkcję mówi do mnie tak: „Słuchaj, ja wtedy, gdy tak siedziałem przed twoim biurkiem myślałem sobie w duchu, że jak tylko zostanę tym przewodniczącym to z miejsca tę gówniarę zwolnię. Ja już jej dam za to, że muszę tu tyle siedzieć”. No, ale potem uznał, że warto dać mi szansę i, jak mówił, popełniłbym największy błąd życia, gdyby tak zrobił. Tak zostałam sekretarką Bernarda Kokowskiego, najlepszego prezydenta jakiego miał Koszalin
- uśmiecha się koszalinianka.

Dożynki

Pani Maria wierzy, że czasem jest tak, że człowiek szuka wydarzenia, które jest dla niego przeznaczone i na odwrót – wyjątkowe wydarzenie szuka człowieka, który da sobie z nim radę – je zrozumie. Zaraz po tym, gdy rządy w Koszalinie objął Bernard Kokowski (kilka miesięcy później zmieniła się struktura organizacyjna i przestał być przewodniczącym, a stał się prezydentem miasta) jak grom z jasnego nieba spadła na Koszalin wiadomość, że właśnie tutaj w 1975 roku zostaną przeprowadzone ogólnopolskie dożynki, czyli jedna z najważniejszych, najbardziej prestiżowych imprez jakie w PRL-u organizowano. Że do miasta przyjadą premier Piotr Jaroszewicz, a przede wszystkim Edward Gierek, I sekretarz KC PZPR, czyli najważniejszy człowiek w ówczesnej Polsce.

- Był telefon z wojewódzkiego komitetu partii, czy miasto sobie poradzi. A prezydent na to „Damy radę”, choć już wtedy wiedział, że wyzwanie było olbrzymie, taka sama odpowiedzialność. Ale wiedział też, że to olbrzymia szansa dla Koszalina, że z Warszawy popłyną wielkie pieniądze na przygotowanie miasta. Czasem myślę, że on wtedy, instynktownie, na coś takiego czekał. Był spokojny. Wiedział co robić.

Już następnego dnia urząd miejski zamienił się w sztab dowodzenia. Codziennie, aż do samych dożynek, o godzinie 20 w ratuszu obradował specjalny zespół, któremu przewodniczył prezydent, a który nadzorował przygotowania. Szybko zapadła decyzja, że zostanie przebudowana ulica Zwycięstwa, plac przed ratuszem, zadaszony zostanie amfiteatr, przeprowadzi się szereg mniejszych remontów.

- No i zaczęła się jedna, wielka gorączka. Codziennie dziesiątki spotkań, setki telefonów, drzwi do prezydenta praktycznie się nie zamykały. To znaczy wtedy, gdy on był, bo często go nie było. Od rana do wieczora nadzorował budowy, albo jeździł po całej Polsce, aby załatwić to lub tamto. A jak był i nikt u niego akurat nie siedział to linia telefoniczna się grzała, bo gadał z całym krajem. I co chwilę krzyczał „Jak to nie macie?! Jak to się nie da?! G.....o mnie to obchodzi! Muszę to mieć na wczoraj, rozumiecie?! Muszę!” A ja tylko łączyłam rozmowy, i łączyłam. Dziś obudzona w nocy od razu wymienię telefony do Central-Kabli z Bytomia i Central – Stali z Katowic. Wtedy byłam już tak zmęczona, że czasem już myślałam, że jestem na Śląsku i łączę rozmowy z Koszalinem – śmieje się pani Maria.

Cały Koszalin znał wtedy białego fiata 125, który dzień w dzień przemierzał całe miasto we wszystkich kierunkach. Prezydent często jeździł sam, wpadał na jedną budowę, drugą. Pytał, czy czegoś nie trzeba, zapisywał, a potem załatwiał gdzie tylko się dało. – Ile razy sama mu pakowałam węgorze do bagażnika, a on ruszał na Śląsk, aby załatwić potrzebne materiały. A tam, wiadomo, ryby to rarytas i często taki węgorz w prezencie bardzo ułatwiał rozmowy, otwierał drzwi dla innych zamknięte. Potem prezydent wracał, a za jakiś czas przychodził transport ze Śląska i budowa mogła ruszyć dalej. Gdyby nie prezydent Kokowski, to chyba byśmy z tym wszystkim nie zdążyli....

Ale zdążyli. Na styk. Kilka dni przed rozpoczęciem dożynek (te rozpoczęły się 7 września 1975 roku), o 4 rano, robotnicy i urzędnicy pili szampana na Rynku Staromiejskim, bo właśnie zakończył się jego remont. Dzień przed imprezą, o 2 w nocy, szampan po placu polał się znowu, bo wybudowana wówczas fontanna trysnęła w górę. – Ulga i satysfakcja były wielkie, ale i napięcie niemałe. Czy wszystko teraz przebiegnie tak jak powinno?

Ekipa z Warszawy przyleciała 6 września po południu. Z lotniska pod Zegrzem Pomorskim polonezami pojechali od razu do Mielna, gdzie Jaroszewicz i Gierek mieli spędzić noc. – Chyba nocowali w Unitralu, ale pewna nie jestem. Następnego dnia rano witaliśmy ich w ratuszu. Wiadomo, ja z kwiatami. Obaj mnie wyściskali serdecznie, ale sympatyczniejszy był Gierek, łatwo nawiązywał kontakt, skracał dystans, mówił do mnie „dzieciątko”. Choć był wtedy bardzo zmęczony i taki wyciszony trochę. Jaroszewicz? A to taki chłopek – roztropek. Nie miał klasy Gierka.

Potem były główne uroczystości na stadionie Gwardii i popołudniowa impreza w amfiteatrze.

– Nowy dach na wszystkich robił olbrzymie wrażenie. Takiej konstrukcji nikt nie widział. Choć w kilku miejscach delikatnie przeciekał i pamiętam, że kilka kropel spadło na głowę Gierka. Ale on nie robił z tego tragedii. Uśmiechnął się tylko i pokazał ręką, że nic się nie stało. Kilka razy powtarzał też z uznaniem patrząc na dach, że jak ten liść na linach może się tak utrzymać.

Dożynki zostały potem bardzo wysoko ocenione, a w ratuszu urywały się telefony z gratulacjami z całej Polski. – Była nawet propozycja pracy dla prezydenta w Warszawie, ale on odmówił. Wtedy nie wyobrażał sobie życia poza Koszalinem.

Człowiek

- On był taki jak Zbigniew Religa. Jak się teraz ogląda film o profesorze to jakbym widziała szefa. Tylko, że tamten leczył ludzi, a ten budował miasto. Ale to był ten sam typ człowieka. Dla obu nie było rzeczy niemożliwych, nigdy się nie poddawali, zawsze parli do przodu i ciągnęli ludzi ze sobą. Prawdziwi liderzy, którzy widzieli dalej niż inni. Podobnie jak Religia prezydent Kokowski nie bał się nikogo, nie ulegał naciskom, Ile razy słyszałam, jak krzyczał do telefonu, który przed chwilą połączyłam z kimś, z komitetu wojewódzkiego, że jeżeli tak stawiają sprawę, to on się na to nie zgadza, a oni mogą go zwolnić, ma to gdzieś. – wspomina pani Maria. Mówi, że o tym, jakim był człowiekiem można napisać książkę, ale ona opowie dwie historie, którą mówią o nim wszystko.

– Kiedyś przyszedł młody człowiek, cały w tatuażach, z żoną i malutkim dzieckiem. I mówi do prezydenta tak: „Wyszedłem z więzienia, a to jest moja rodzina. Nie chcę żyć tak, jak żyłem do tej pory, mam dla kogo żyć. Ale jak pan mi nie pomoże, to znowu tam wrócę, bo nie mam pracy, dachu nad głową. Proszę dać mi szansę, tylko o to pana proszę.” Gdy wszyli prezydent każe wezwać mi dyrektora od mieszkaniówki. Potem wykonał kilka telefonów. Kilka dni później ten człowiek przyszedł znowu i płacząc dziękował za mieszkanie i pracę. Pierwszy raz wtedy wdziałam jak mężczyzna całuje drugiego mężczyznę w rękę.

Druga historia dotyczy samej pani Marii. Pewnego dnia prezydent wrócił wściekły i rzuca do niej krótko „Pakuj się. Zwalniam cię”. – Zdębiałam. Łzy mi napłynęły do oczu, ale nic, zacisnęłam zęby, wzięłam jakiś karton i zaczynam się pakować. Po chwili wychyla się z gabinetu i mówi „Zwalniam cię, bo mnie oszukujesz. Dostawałaś jakieś anonimy?” – pyta. Ja na to „Tak”. A on dalej „I co z nimi robiłaś? Ja dalej spokojnie mówię „A co miałam robić? Wyrzucałam”. I dopiero wtedy tłumaczy mi co się stało. Był w Komitecie wojewódzkim i tam go o te anonimy pytają. A on robi tylko wielkie oczy i pyta „Jakie anonimy?”. Ktoś wtedy przez kilka tygodni rozsyłał donosy na pracowników ratusza, że kradną, źle pracują, zdradzają żony, mężów. Od razu wyrzucałam je do kosza. Ale ich kopie ktoś wysyłał też do komitetu. A tam sobie takie rzeczy cenili. No i Kokowski wyszedł przede mną na prezydenta, który nie wie co się dzieje w ratuszu, no i się wkurzył. A ja na to wtedy mówię tak „Szefie, jak pan chce podejmować decyzję na podstawie obrzydliwych anonimów to żaden z pana prezydent.”. Odwróciłam się na pięcie, trzasnęłam drzwiami i wyszłam. Na drugi dzień telefon, że prezydent na mnie czeka. Jadę, wchodzi do gabinetu. „Przepraszam cię” – mówi z uśmiechem. – „Masz rację. Mam bardzo mądrą sekretarkę. Wracaj do pracy”. Takim właśnie był człowiekiem...

Koniec

Bernard Kokowski przestał być prezydentem w kwietniu 1981 roku. W ratuszu pojawiła się milicja, zatrzymano jego, kilka innych osób, w tym jego sekretarkę. Pojawiły się zarzuty o korupcję, złe dysponowanie funduszem reprezentacyjnym. Potem był proces i wyrok skazujący Kokowskiego na kilka lat więzienia. - Kilka miesięcy przed aresztowaniem zmarła mu córka. To był koszmarny czas. Gdy wyszedł z więzienia był już innym człowiekiem. Czuł się zdradzony przez państwo, oszukany. Ale nie poddał się, zaczął prowadzić własną działalność gospodarczą, odnalazł się nowych czasach, które wkrótce nadeszły. Zmarł w 2003 roku.

– Te wydarzenia z 1981 roku to był szok, to boli do dzisiaj – mówi dalej. - Nie chcę do tego za bardzo wracać... Powiem tyle, że dla mnie to wszystko było ukartowane, zarzuty wysrane z palca. Chyba wtedy była potrzeba na taki pokazowy proces, w dobie „Solidarności”, że władza sama potrafi się oczyścić i sama walczy z nadużyciami. Żadnej korupcji nie było, fundusz był śmiesznie mały. To był uczciwy człowiek A te węgorze? Wyprawy na Śląsk? To wtedy była norma. A przecież on nic dla siebie nie załatwiał, wszystko robił z myślą o mieście. Jeżeli drogą normalną się nie dało niczego dostać, to co miał robić? – pyta.

Ona sama wyszła z aresztu po kilkudziesięciu dniach. Nikt nie postawił jej żadnych zarzutów, nikt nie przeprosił. Przed bramą czekał samochód z kierowcą, który zawiózł ją do ratusza. Na schodach czekali na nią wszyscy pracownicy z kwiatami. Płakała jak dziecko. Wcześniej, gdy jeszcze w areszcie szła korytarzem, dojrzał ją prowadzony w tym samym czasie gdzieś obok prezydent Kokowski. – „Do jasnej cholery! To jeszcze sekretarkę mi zamknęliście?! Dajcie spokój tej dziewczynie! – krzyczał na całe więzienie.

- Krzyk ten dźwięczy mi w uszach do dzisiaj....

Piotr Polechoński

„Głos Koszaliński”

